

*Książkę dedykuję moim przyjaciółkom,
duchowym siostrom, które nieraz mnie ocaliły*

PANNA

Persefona, królowa świata podziemnego, skazana na spędzanie połowy życia w ciemności, a połowy w świetle.

PROLOG

Widziałem ją wszędzie. Na ulicach, w zatłoczonych restauracjach, raz nawet w krótkim mgnieniu ciemnych włosów i białej koronki tuż przed zamknięciem drzwi windy. Bez zastanowienia, z sercem walącym w piersi jak dzwon, przebiegłem dwie kondygnacje schodów tylko po to, by odkryć, że to inna kobieta. Trzymała za rękę małego chłopca. Przyciągnęła go do swojego boku, gdy wychodziła z windy, i spojrzała na mnie podejrzliwie, jakby się bała, że go porwę i ucieknę.

W tamtym czasie wciąż się zastanawiałem, czy nie zwariowałem. Wątpiłem, czy ona kiedykolwiek w ogóle istniała. Ale potem przypominałem sobie dotyk jej palców na mojej skórze, gładki jedwab jej włosów, melodię jej śmiechu i to, jak bardzo wciąż ją kochałem. I wiedziałem, w głębi duszy **w i e d z i a ł e m**, że była prawdziwa.

Śniłem o niej, a ona w ciemności trzymała mnie w ramionach. W mroku szeptała, że jestem dość silny, by wytrwać, że

jestem wart miłości, którą mi dała. Przypominała mi, kim
byłem, zanim w ogóle stałem się kimś.

Moja Nocna Lilia. Skąpana w blasku księżyca.

Bo teraz – tak samo jak wtedy – gdy nadeszło światło dnia,
już jej nie było.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Holden

Huk śmigła helikoptera ucichł, gdy zwolniło i w końcu się zatrzymało. Zamroczony otworzyłem oczy i spojrzałem za okno na ogromny las otaczający polanę, na której wylądowaliśmy. Mięśnie mi drżały, pięści zaciskałem na udach, ale czułem się trochę lepiej niż wtedy, gdy wylatywaliśmy z San Francisco. Przynajmniej się przespałem. Kilka godzin? Zawsze to coś, więcej niż poprzedniej nocy. Może nawet więcej niż w ciągu ostatnich trzech dni.

– Idziesz, stary? – zawołał Brandon, otwierając szarpnięciem drzwi. – Przepraszam, że cię budzę, ale w środku jest łóżko, na którym będzie ci o wiele wygodniej niż na tym siedzeniu.

– Nie spałem – wymamrotałem.

Chwyciłem sportową torbę i powoli ruszyłem w stronę wyjścia. W mojej głowie walił bolesny werbel, ogarnęły mnie mdłości. Cholera, ciągle czułem się półżywy. Skrzywiłem się i wyskoczyłem przez otwarte drzwi.

– Modliłem się – dodałem.

Brandon zaśmiał się cicho.

– Człowieku małej wiary. Chyba nie wątpiłeś, że dostarczę cię tu w jednym kawałku? Mam dziki talent do latania, stary.

Odwrócił się i zaczął iść, nawet nie zamykając drzwi helikoptera. Jak się domyśliłem, oznaczało to, że długo nie zostanie. Poszedłem za nim.

– Przez większość czasu nie umiesz nawet utrzymać piłki. A za to płacą ci miliony. Czemu miałbym powierzać ci swoje życie?

Brandon rzucił mi przez ramię szydercze spojrzenie, ale potem się roześmiał.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że kupiłeś helikopter – powiedziałem, doganiając go, gdy szliśmy przez wysoką trawę pokrytą rosą.

Wzruszył ramionami.

– Zawsze chciałem nauczyć się latać. Czemu nie? Życie jest krótkie. Jeśli ma się szansę odhaczyć parę rzeczy z listy życzeń, trzeba to zrobić. Poza tym z najbliższego lotniska pasażerskiego jedzie się tutaj trzy godziny. Tak było o wiele szybciej.

– Rany, a jak daleko stąd do cywilizacji w ogóle?

– Ponad sto kilometrów do Telluride. Kiedy mówiłem o prywatności, miałem na myśli p r a w d z i w ą prywatność.

Gdy przeszliśmy przez rzadki zagajnik, naszym oczom ukazał się bok ogromnego dwupiętrowego domu letniskowego z oknami od sufitu do podłogi na obu poziomach. Gdy się zbliżaliśmy, widziałem drzewa i niebo odbijające się w szkle, jak gdyby cała budowla była po części migoczącą iluzją. W nocy świeciła pewnie jak latarnia. Gwizdnąłem, zerkając na las rosnący bezpośrednio przed domem – taki widok miałem oglądać ze środka.

– Cholera, kiedy budujesz chatę w dziczy, to się nie patyczkujesz. Jak w cholernym *Łśnieniu*, stary. Masz na wyposażeniu parę upiornych bliźniaczek?

Brandon zaśmiał się, gdy wszedłem za nim po dużych kamiennych schodach.

– Uważaj, z czego żartujesz. Kiedy ostatnio byłem tu z grupą, kilka dziewczyn zarzekało się, że widziały ducha w lesie. Wybiegły z jacuzzi z przeraźliwym wrzaskiem.

Zrobił minę, która miała chyba wyrażać śmiertelne przerażenie, i zagiął palce jednej dłoni jak szpony.

Prychnąłem i przewróciłem oczami, gdy wyciągnął komplet kluczy i otworzył drzwi.

– Chyba niepotrzebnie piły alkohol w upale.

I miała za mało szarych komórek. To była stała cecha dziewczyn, z którymi imprezował Brandon. Dobrze o tym wiedziałem, bo ja też z nimi imprezowałem.

– Tak czy siak, bardzo chciały, żebym zasłonił je własnym ciałem przed straszidłami za oknem. Na g i m c i a ł e m. W moim łóżku. Wszyscy na tym zyskali. Ale wiesz, co jest naprawdę upiorne? Podobno jakieś osiem kilometrów stąd jest stary opuszczony szpital psychiatryczny. Zajebisty czad, nie?

W jego głosie nie było sarkazmu. Naprawdę uważał, że to czad.

– Czad – zgodziłem się bez przekonania.

Czad... i potworność. Ale miałem parę poważniejszych problemów niż opuszczony budynek parę kilometrów stąd. Brandon rzucił klucze na stolik przy kanapie, gdy weszliśmy do wielkiego pomieszczenia. Cały dom wyposażony był w solidne meble w męskim stylu pasujące do luksusowego resortu narciarskiego. Były zestawione razem po kilka, by stworzyć wrażenie intymności.

– Przywiozłem tu dekoratora wewnątrz, który zaaranżował wszystko w zgodzie z *feng shui*, żeby energia była w równowadze i takie tam.

Zerknąłem na niego zdziwiony, a potem szybko się rozejrzałem.

– Czy tego mi właśnie brakowało? Równowagi energii?

Brandon wzruszył ramionami.

– Może i tak, stary.

Wydusiłem z siebie cichy śmiech, rzuciłem torbę na ziemię i podszedłem do okna, by zerknąć na widok. Z tej wysokości było to zupełnie inne przeżycie. Wszędzie wokół wspaniały ogrom gęstego lasu, w oddali góry ze szczytami skrytymi w chmurach, rosa migocząca na liściach w przedwieczornym słońcu. Przez parę minut patrzyłem w milczeniu.

– Czyli naprawdę mnie tu zostawisz, co? – spytałem, nie odwracając się, a mój ton wyrażał większe osamotnienie, niż zamierzałem. Miałem zostać sam na sam z powietrzem, lasem, kamieniami i niebem. I jeszcze z opuszczonym szpitalem psychiatrycznym. O tym się nie da zapomnieć. No i ze sobą – przed tym nigdy nie ucieknę, chociaż naprawdę się starałem. Ale tutaj...

Brandon przez chwilę milczał.

– Tak, naprawdę. A tobie się poprawi. Będzie lepiej niż kiedykolwiek wcześniej. Wiesz, że to...

– Tak, wiem.

Mój umysł dopowiedział to, czego nie usłyszałem od Brandona. To była moja druga szansa. I ostatnia szansa na to, by się przygotować do powrotu... Najwyższy czas, by zebrać się do kupy. Dalej wyglądałem przez okno. Krajobraz w swym pięknie i prostocie zdawał się kpić z brudu moich wewnętrznych zawiłości. A może sprawa wcale nie była skomplikowana. Może to coś całkiem prostego: byłem cholernym pojebem, który utknął tak głęboko w dupie, że nie potrafił już znaleźć wyjścia. Potrząsałem głową, by oczyścić umysł. Odwróciłem się z powrotem do Brandona, który patrzył na mnie z niepokojem.

Przeczesałem palcami włosy. Potrzebowałem prysznica. Krzywiąc się, spytałem:

– Powiesz mi, co się wczoraj stało?

Z początku nie odpowiadał, a potem spytał:

– Nic nie pamiętasz?

– Tylko urywki.

Opadłem na najbliższy fotel, masując sobie skronie. Obudziłem się z potwornym bólem głowy, który wciąż odczuwałem, dzięki potężnej ilości alkoholu wypitego poprzedniej nocy. Zdecydowanie potrzebowałem klina.

– Pamiętam, że Paul mnie wyrzucił.

Mój agent z twarzą czerwoną z wściekłości dosłownie wykopał mnie ze swojego domu. Leżałem rozwalony na ziemi i jęczałem. Gdy Brandon mnie podnosił, po brodzie ściekała mi obrzydliwa ślina.

– Przeleciałeś Sabrinę w łazience na dole, stary. Wszyscy na imprezie to słyszeli.

Sabrina. Piękna blondynka, „popisowa” żona Paula.

Poczułem mdłości. Cholera. Kurwa. Opadłem z powrotem na fotel, próbując uporządkować fragmenty wspomnień, które migotały w moim umyśle. Sabrina poszła za mną do łazienki, napraszała mi się, a ja... skorzystałem z okazji? Nie przypominałem sobie, żebym się zgodził, jak przez mgłę pamiętałem tylko jęki i długie paznokcie wbijane w skórę, gdy rznąłem jakąś laskę na umywalce. Zanim uświadomiłem sobie, co robię, sięgnąłem ręką do pleców, a gdy lekko przycisnąłem do nich dłoń, poczułem kłujący ból od zadrapań. To był dowód mojego obrzydliwego zachowania. Żółć podeszła mi do gardła, zdusiłem wymioty, przesuwając spoconymi dłońmi po udach.

– Ja pierdolę – wymamrotałem. – Kurwa, ja pierdolę.

– Tak, w sumie chyba dobrze to podsumowałeś – zgodził się Brandon. – I to w każdym znaczeniu. – Na jego twarzy malowała się tylko litość, więc odwróciłem wzrok. Potem na parę sekund zapadła cisza. – Nie możesz tak dalej, chłopie – dodał. – Nie jesteś s o b ą. Nie możesz w ten sposób żyć. Ale

to ty musisz podjąć decyzję. Jeśli zechcesz, uda ci się znów poukładać sobie życie.

Skinąłem głową, chociaż nie miałem pojęcia, jak miałbym to zrobić.

– Tak, wiem – skłamałem. – To dobry pomysł. Stary, doceniam to.

Naprawdę doceniałem. Gdyby nie to, utknąłbym na detok-sie dla gwiazd, gdzie paparazzi ukrywaliby się na drzewach i próbowali zrobić mi zdjęcie, jak się rozklejam na terapii grupowej albo coś w tym stylu. Zamiast tego Brandon podniósł mnie z ziemi – dosłownie – i zabrał do siebie. A rano przyniósł mi kawę i proszek przeciwbólowy, po czym zaproponował, że mnie tu zabierze. O ile obiecuję, że wykorzystam to miejsce, by wrócić na właściwą drogę. Chciałem to zrobić, naprawdę chciałem. Byłem tak cholernie zmęczony własnym życiem, ciągłymi imprezami i piciem, żalonymi lizusami, przygodnym seksem i zbyt jasnymi porankami, którym zawsze towarzyszyły wstyd, mdłości i depresja. Dlatego spakowałem torbę i skorzystałem z jego propozycji. Wiedziałem, że powinienem traktować to wyłącznie jako dar, ale tak naprawdę wolałem się ukryć, niż mierzyć się z tym wszystkim, co spieprzyłem. A teraz byłem tutaj.

Brandon podszedł bliżej i chwycił mnie za ramię, ściskając pokrzepiająco.

– Zanim pojedę, muszę przeszukać ci torbę.

Zerknąłem na niego, lekko mrużąc oczy. Ale na jego twarzy widziałem tylko troskę i być może poczucie winy. Nie cieszyła go zabawa w strażnika. Zastanawiałem się, czy nie powiedzieć mu, żeby się pieprzył, ale nie mogłem już sobie pozwolić na utratę kolejnego przyjaciela. Wpuściłem powietrze.

– Tak, jasne. Dobrze.

Wstałem i sięgnąłem po swoją sportową torbę, po czym rzu-ciłem ją na kanapę i odsunąłem się, gdy zaczął ją przeszukiwać.

Wiedziałem, że szuka pigulek. Troszczył się o mnie, ale pewnie nie chciał też, żebym przedawkował prochy, zaszyty w jego chacie w dzikich ostępach Kolorado. Media nieźle by się z tym zabawiły. Próbowałem wzbudzić w sobie lęk na myśl, że właśnie to mogłoby się wydarzyć, ale czułem jedynie niewielką ciekawość. Zastanawiałem się, po jakim czasie znaleźliby moje zwłoki.

Po minucie zasunął moją torbę i odepchnął ją.

– Możesz zająć dowolną sypialnię na górze. Gospośia w tym tygodniu zrobiła zakupy. Spiżarka i lodówki w kuchni i garażu są pełne jedzenia, starczy go na jakiś miesiąc. Na dole jest w pełni wyposażona siłownia. Korzystaj z niej, stary. Dzięki wzniesieniu terenu ćwiczenia będą lepsze niż gdziekolwiek indziej. W garażu jest jeep, kluczyki wiszą obok drzwi.

– Myślałem, że mam tu tkwić zaszyty przez kolejne cztery tygodnie.

Poza tym wiedział, że nie powinienem prowadzić.

– Bo tak jest. Ale masz prawo wiedzieć, gdzie jesteś, w razie gdyby doszło do nagłego wypadku. Nie jesteś w więzieniu.

Przez chwilę patrzył mi prosto w oczy. Wyraz jego twarzy był jak dokończenie zdania: „jeszcze”.

– Jeśli będziesz miał jakieś pytania, dzwoń. Jest tu całkiem niezły zasięg. Rzadko miałem z tym problemy.

Skinąłem głową.

– Po prostu się wyluzuj, stary. Odpocznij. Zregeneruj się. Przewietrz głowę.

Przyglądał się mojej twarzy o sekundę za długo. Najwyraźniej chciał coś jeszcze dodać, ale zmienił zdanie. Jasne. I tak wiedziałem, o co mu chodziło. Nie pokazuj się. Skaż się na wygnanie, żeby nie spieprzyć spraw jeszcze bardziej. Poważnie zastanów się nad tym, dlaczego tak bardzo nienawidzisz swojego życia, ty głupi, niewdzięczny draniu.

– No dobra. Lepiej już pójść, dopóki jeszcze mam dobre warunki do latania.

Klepnął mnie w ramię i ruszył w stronę drzwi. Krótki szczek zamka i zostałem sam. Znów uderzyła mnie fala mdłości. Usiadłem na kanapie, głęboko wciągając powietrze i chowając głowę między kolanami. Ta przekłeta cisza. Po paru minutach zakłócił ją odległy krzyk ptaka. Brzmiał dziwnie, jak człowiek, i sprawił, że poczułem ciarki na plecach.

Po chwili usłyszałem odgłos śmigła helikoptera, który zaraz ucichł.

Brandon odleciał.

Przeczesałem obiema dłońmi swoje krótkie ciemne włosy, a potem wyprostowałem się i sięgnąłem do torby. Rozpiąłem ją i wymacałem ukrytą kieszeń wszytą przy dnie. Rozdarłem szew i wyciągnąłem plastikową torebkę owiniętą taśmą klejącą. Gdy ją otwierałem, trzęsły mi się dłonie. Zakląłem cicho, kiedy dwie pigułki bezgłośnie spadły na dywan pod moimi stopami, a jedna potoczyła się pod stół. Zacząłem jej szukać na czworakach. W tym momencie nawet dla mnie stało się jasne, że jestem nieskończenie żaloszny. Z ulgą wypuściłem powietrze, gdy moje palce natrafiły na małą pigułkę.

Zaniosłem owiniętą taśmą torebkę do kuchni, zerkając na ciemne szafki, sprzęty kuchenne przemysłowej wielkości i blaty z ciemnoszarego granitu. Schowałem torebkę za pudełkami z płatkami śniadaniowymi w dużej spiżarni – nie byłem pewien, przed kim je chowam, ale teraz to był już odruch – a potem połknąłem dwie tabletki, które spadły na podłogę, i pochyliłem się nad zlewem, by napić się prosto z kranu.

Miałem zamiar przestać zażywać pigułki. Jeszcze parę dni i to zrobię. Został mi miesiąc, zanim będę musiał poważnie podejść do trenowania. Kolejnych parę dni niczego nie zmieni. Zbiorę siły i wtedy to zrobię. Kiedy będę gotowy. Ale nie dzisiaj. Dzisiaj potrzebowałem pigulek. Potrzebowałem błogiego odrętwienia, które mi dawały.

Znów usiadłem przy oknie z widokiem na las i zacząłem się zastanawiać, jakie zwierzęta w nim mieszkają. Niedźwiedzie? Czy powinienem się bać niedźwiedzi? Wilki? Nieważne. Nie będę wychodził. Niedźwiedzie czy wilki były o wiele mniej przerażające niż paparazzi próbujący zrobić zdjęcie byłego gwiazdora futbolu, obecnie bez pracy i w kompletnej rozsypce.

Zadzwonię do Ryana...

Podskoczyłem i skrzywiłem się na tę myśl. Nawet teraz, niemal po trzech miesiącach czasem do niego dzwoniłem, gdy potrzebowałem najlepszego przyjaciela, kogoś, kto zna mnie – takiego, jakim byłem, zanim stałem się własnością publiczną. Zanim zmieniłem się w należącego do wszystkich Holdena Scotta. A potem przypominałem sobie, że odszedł, i wciąż mnie to szokowało. Jak długo to potrwa? Jak długo będzie powracał ten przebłysk mojej podświadomości przekonanej, że on wciąż żyje, że wystarczy tylko zadzwonić? Czy naprawdę życzyłem sobie, żeby ta myśl zniknęła? To była ostatnia częśćka mojego umysłu, która nie chciała uwierzyć, że odszedł na zawsze. Głowa znów zaczęła mi pulsować.

Odwracając się przepelniony paskudnym politowaniem dla samego siebie, włączyłem telewizor i położyłem się na skórzanej sofie, licząc, że bóstwo *feng shui* ześle mi dobre wibracje. Chciałem się trochę zdrzemnąć. Sen był mi cholernie potrzebny. Byłem tak potwornie zmęczony.

Może wszystko będzie wyglądać lepiej, gdy chwilę odpocznę.

★

Sen nie nadszedł. Trochę po północy wytoczyłem się z domu, żeby się przewietrzyć. W tle słychać było śmiech z puszeki w jakimś wieczornym *talk show*, sztucznie wytworzony odgłos szczęścia, przez który zaciskały mi się szczęki, a skórę przeszywał ból. Wszystko było nie tak. Mimo woli

niespokojnie przebierałem nogami, jakby w moich żyłach pełzały mrówki. Nie mogłem, kurwa, oddychać. Wyłączyło mi się myślenie. Czułem się tak, jakby coś lub ktoś nieustannie walił w mój mózg, próbując przyciągnąć moją uwagę, a to bolało. Wcześniej rozebrałem się do bokserek i chociaż nocny powiew końca lata był odrobinę za chłodny, przyjemnie było czuć go na nagiej skórze. Stałem przy balustradzie wielkiego tarasu otaczającego cały dom, wpatrując się w ciemny las i wdychając chłodne świeże powietrze, jakby mogło jakimś cudem oczyścić mnie ze wszystkich porażek.

Wzdrygnąłem się lekko, gdy zobaczyłem, że między drzewami coś się porusza – niewyraźna sylwetka kogoś ubranego na biało. Wbiłem wzrok w miejsce, gdzie byłem pewien, że... c o s widziałem. Ale po chwili odwróciłem zmęczone oczy i potarłem powieki. Jezu, miałem zwidy. Już mi się to zdarzało, gdy nie sypiałem przez wiele dni. A teraz działo się znowu.

A może tam c o s było – wilk, jakieś zwierzę, które w zdradliwym świetle księżyca wyglądało na człowieka. Podniosłem ręce, śmiejąc się w cichą pustkę nocy.

– Hej, niedźwiedzie! Wilki! Słuchajcie, chujki. Wiecie, kim jestem? – Moje słowa odbijały się echem w przepastnej ciemności. – Jestem Holden Scott, najbardziej pożądany mężczyzna w Lidze Futbolowej. – Opuściłem ręce. – Kiedyś w NFL. Zhańbiony, ale wciąż pożądany. Spójrzcie na mnie. Jestem pieprzonym BOGIEM! Kobiety w całym kraju mnie pragną. Chcą mi rodzić dzieci. Zakradają się do mojego pokoju w hotelach i chowają pod łóżkiem. To cholernie popaprane. – Zaśmiałem się, ale nie było w tym radości, brzmiało to raczej jak dziwne szczeknięcie. – One... – Wypuściłem drżący oddech. – One...

Wciągnąłem kłująco zimne nocne powietrze, czując nadchodzącą falę rozpacz, jakby była namacalna. Zbijała mnie z nóg, wciągała pod powierzchnię i spychała na dno, wypełniając moje usta gorzkim smakiem cierpienia.

– Widzicie, rzecz w tym, że mam plan awaryjny. Mogę zacząć puszczać się za pieniądze. Już nie będzie darmochoy. Zarobiłbym cholerną fortunę. Jestem bogiem wśród ludzi! – zawołałem znowu.

I wtedy moje nogi się poddały. Padłem na kolana, milcząco osądzany przez księżyc. Zwiesiłem głowę. Czułem się tak, jakby moja dusza spała, a ja nie miałem zielonego pojęcia, co mogłoby ją zbudzić.